

**Michel
Foucault**

**Nadzorować
i karać**

Narodziny więzienia

Przełożył i posłowiem opatrzył
Tadeusz Komendant

ALETHEIA - SPACJA
Warszawa 1993

Rozdział pierwszy

Ciało skazańców

Damiens skazany został drugiego marca 1757 roku na „publiczną pokutę przed głównym wejściem do Kościoła Paryskiego”, dokąd miał być „wieziony i doprowadzony na wózku, obnażony, w jednej koszuli, z płonąca gromnicą wagi dwu funtów w ręku”; potem „w rzeczonym wózku na placu Grève i na szafocie, który tam wzniesiony zostanie, szarpany obcęgami w piersi, ręce, uda i łydki; prawica dzierżąca nóż, którym dokonał pomienionego ojcobójstwa, przypiekana siarką, a miejsca, skąd będą drzeć pasy, polewane płynnym ołowiem, wrzucą oliwą, gorącą żywicą, woskiem i siarką gotowanymi pospołu; następnie ciało rozwłócone i rozerwane w cztery konie, potem członki i korpus spalone, obrócone w popiół, a popioły rozrzucone na wiatr”¹.

„Wreszcie poćwiartowali go — donosi „Gazette d’Amsterdam”². — Jeno że ta operacja trwała bardzo długo, bo konie, których użyto, nie nawykły do włóczenia, toteż zamiast czterech trzeba było zaprzęgać sześć; a że i tego nie wystarczyło, musiano, żeby wyrwać nieszczęśnikowi nogi, podcinać mięśnie i rozrąbywać stawy...

Upewniają nas, że chociaż wielce przedtem i często bluźnił, nie wyrwało mu się ani jedno przekleństwo; jeno nadmierne boleści dobywały zeń wiele okropnych krzyków i często powtarzał: Boże, zlituj się nade mną, Jezu, pomóż

¹ *Pièces originales et procédures du procès fait à Robert-François Damiens, 1757, t. III, s. 372-374.*

² „Gazette d’Amsterdam”, 1 kwietnia 1757 roku.

mi. Widzowie wszyscy zbudowani byli staraniami proboszcza od Św. Pawła, który, mimo podeszłego wieku, ani chwili nie tracił delikwenta konsolidując”.

A teraz podoficer Bouton:

Podpalono siarkę, ale ogień był tak marny, że jeno skóra z wierzchu ręki nie za wiele się napoczęła. Potem oprawca, podwinąwszy rękawy wyżej łokci, chwycił za umyślnie narządzone stalowe obcęgi, długie na półtorej stopy, wraził je pierwszej w łydkę prawej nogi, potem w udo, zaczął w mięśnie prawego ramienia i przedramienia; na koniec w sutki. Jakkolwiek oprawca silny był i postawny, wiele się natrudził przy wrywaniu kawałów ciała, które brał w cęgi, dwa albo i trzy razy w tę samą stronę podkręcając, a tam, skąd je ujmował, tworzyła się rana wielkości sześciofuntowego talara.

Damiens, który nie bluźnił, choć krzyczał donośnie, po każdym szarpnięciu wznosił głowę i spoglądał wokoło; ten sam oprawca zaczerpnął żelazną warząchwią z kotła wrzącą driakiew i obficie polał nią każdą ranę. Potem sznurami przywiązano powrozy potrzebne do zaprzęgnięcia koni i wprężnięto konie nad każdym członkiem wzdłuż ud, goleni i ramion.

Pan Le Breton, kancelista, wielokroć podchodził do delikwenta, aby zapytać, czy ma co do powiedzenia. Powiedział, że nie; tak krzyczał, jak opisują potępionych — nie sposób tego opowiedzieć — przy każdej męczarni: Panie, miej litość! Panie, zmiłuj się! Mimo wszystkie pomienione cierpienia unosił co czas jakiś głowę i zuchwale toczył wzrokiem. Powrozy, zadzierzgnięte przez mężczyzn, którzy ciągnęli za ich końce, zadawały mu niewymowne bole. Pan Le Breton jeszcze raz się do niego przybliżył i spytał, czy by czego nie chciał powiedzieć; rzekł, że nie. Spowiednicy podeszli gromadą i przemawiali doń długo. Po dobrowoli całował krucyfiks, który mu okazywali; wysuwał wargi i powtarzał bez ustanku: Wybacz, Panie.

Konie zaparły się; każdy ciągnął członek przed siebie, a każdy trzymany był przez kata. W kwadrans potem egzekucja trwała w najlepsze, aż wreszcie po wielu próbach musiano przeprzęgać konie, a mianowicie: od prawej ręki dać na przód, od nóg przestawić do rąk, co rozerwało mu ramiona w stawach. Szarpnięcia były powtarzane po wielokroć bez skutku. Damiens podnosił głowę i rozglądał się. Trzeba było dostawiać dwa konie przed uwiązanymi do nóg, co dawało w sumie sześć koni. Bez powodzenia.

Wreszcie kat Samson poszedł rzec panu Le Breton, że nie widzi sposobu ani nadziei, żeby z tym skończyć i prosił, aby zapytał Radę, czy zechce zezwolić, żeby on kazał go poćwiartować. Pan Le Breton, powróciwszy z miasta, nakazał ponowić usiłowania, co i uczynione zostało, ale konie się znarowiły, a jeden spośród zaprzęgniętych do nóg upadł na bruk. Spowiednicy wrócili, by z nim jeszcze mówić. Mówił im (słyszałem na własne uszy): Pocałujcie mnie, Panowie. Ksiądz proboszcz ze Świętego Pawła nie miał odwagi, ale ksiądz z Marsilly przeszedł pod sznurem od prawej ręki i pocałował go w czoło. Oprawcy jeli narzekać między sobą, a Damiens mówił im, żeby nie przeklinali, czynili dalej swoją powinność i że nie żywi do nich urazy; prosił, żeby się modlili za niego do Pana Boga i polecił proboszczowi ze Św. Pawła, by modlił się na pierwszej mszy w jego intencji.

Po dwu, a może trzech próbach kat Samson i tamten, który go szarpał cęgami, wyciągnęli z kieszeni po nożu i odcięli nogi od tułowia; cztery konie, ciągnące z całej siły, poniosły obie nogi, a to: najpierw tę z prawej strony, a drugą potem. Dalej tak samo uczyniono z rękami w okolicy ramion i pach; trzeba było ciąć ciało prawie po kości, a konie, rwąc z kopyta, powlokły najpierw prawą rękę, potem lewą.

Po odjęciu tych czterech członków przyszli spowiednicy, żeby z nim mówić; oprawca wszak rzekł im, że jest on martwy, jakkolwiek prawdą jest, że widziałem ruszającego się człowieka, a jego zuchwa chodziła tam i z powrotem, jak gdyby mówił. Jeden z oprawców powiedział nawet jakiś czas potem, że kiedy podniósł tors, żeby go rzucić na bierwiona, ten żył jeszcze. Cztery członki odczepione od końskiej uprzęży ciśnięto na stos ułożony kłosem naprzeciw szafotu, potem tors, wszystko przykryto bierwionami i chrustem, i podłożono ogień pod słomę wymieszaną z drewnem.

...Zgodnie z wyrokiem wszystko obróciło się w popiół. Ostatni kawałek odnaleziony w żarze skończył się palić dopiero o wpół do jedenastej wieczorem, albo i później. Cieleśne szczątki i korpus potrzebowały około czterech godzin. Oficerowie, w liczbie których byłem, tak jak i mój syn, i łucznicy, sformowani w oddział, zostaliśmy na placu do prawie jedenastej.

Niektórzy chcą wróżyć coś z tego, że nazajutrz na błoniach, gdzie płonął stos, położył się pies i, choć był wielokroć przeganiany, wciąż wracał. Ale nie tak trudno zrozumieć, że owo zwierzę miało sobie to miejsce za cieplejsze nad inne³.

³ Cyt. za: A.L. Zevaes, *Damiens le régicide*, 1937, s. 201-214.

A oto jak, w trzy czwarte wieku później, wygląda zrehabilitowany przez Leona Fauchera regulamin „domu młodocianych więźniów w Paryżu”⁴:

Art. 17. Dzień więźniów zaczynać się będzie o szóstej rano w zimie, o piątej w lecie. Praca trwać będzie dziewięć godzin dziennie o każdej porze roku. Dwie godziny dziennie poświęcone będą na naukę. Praca i dzień kończyć się będą o dziewiątej w zimie, o ósmej w lecie.

Art. 18. *Pobudka*. Za pierwszym werblem więźniowie mają wstawać i ubierać się w milczeniu, podczas gdy dozorca otwiera drzwi cel. Przy drugim werblu mają być na nogach i ścielić łóżka. Przy trzecim ustawiają się w szereg i idą do kaplicy na modlitwę poranną. Pomiędzy werblami jest po pięć minut przerwy.

Art. 19. Modlitwę odprawia kapelan, po czym następuje lektura umoralniająca albo religijna. Nabożeństwo nie powinno przekraczać pół godziny.

Art. 20. *Praca*. Za piętnaście szósta w lecie, za piętnaście siódma w zimie więźniowie schodzą na podwórze, gdzie mają umyć ręce i twarz i dostać pierwszą porcję chleba. Niezwłocznie potem ustawiają się według warsztatów i udają do pracy, która winna rozpoczynać się latem o szóstej, a zimą o siódmej.

Art. 21. *Posiłek*. O dziesiątej więźniowie odchodzą od pracy, by udać się do refektarza. Idą myć ręce na swoje podwórze i ustawiają się oddziałami. Po obiedzie odpoczynek do za dwadzieścia jedenasta.

Art. 22. *Szkola*. Za dwadzieścia jedenasta, na dźwięk werbla, szeregi ustawiają się i kolejno wchodzi do szkoły. Nauka trwa dwie godziny, poświęcone na przemian czytaniu, pisaniu, kreśleniu i rachunkom.

Art. 23. Za dwadzieścia pierwsza więźniowie wychodzą ze szkoły oddziałami i udają się na podwórko na odpoczynek. Za pięć pierwsza, na werbel, z powrotem ustawiają się warsztatami.

Art. 24. O pierwszej więźniowie powinni być w warsztatach. Praca trwa do czwartej.

Art. 25. O czwartej wyjście z warsztatów i przejście na podwórze, gdzie więźniowie myją ręce i ustawiają się w kolejce do refektarza.

Art. 26. Kolacja i późniejszy odpoczynek trwają do piątej. O tej godzinie więźniowie wracają do warsztatów.

Art. 27. Pracę kończy się latem o siódmej, a zimą o ósmej. Ostatnia porcja chleba w warsztacie. Kwadrans jakiejś budującej lektury w wykonaniu jednego z więźniów albo nadzorcy, a następnie modlitwa wieczorna.

Art. 28. Latem o wpół do ósmej, zimą o wpół do dziewiątej więźniowie mają być w celach, po umyciu rąk i przeglądzie ubrań dokonanych na podwórzu. Przy pierwszym werblu rozebrać się, a przy drugim być w łóżku. Zamyka się drzwi cel i nadzorcy robią obchód korytarzy, by upewnić się o porządku i ciszy.

*

Oto zatem kaźń i rozkład zajęć. Nie są karą za te same zbrodnie, nie tych samych przestępców represjonują. Każde z nich jednak dobrze określa pewien styl penalizacji. Dzieli je od siebie mniej niż sto lat. Cała epoka, gdy wszędzie, w Europie i w Stanach Zjednoczonych, dokonano nowej redystrybucji w ekonomii kary. Epoka wielkich „skandali” w tradycyjnej sprawiedliwości, epoka niezliczonych projektów reform; nowej teorii prawa i zbrodni, nowego moralnego i politycznego uzasadnienia prawomocności karania; zniesienia dawnych ordynacji, zanikania prawa zwyczajowego; projektowania i redakcji „nowoczesnych” kodeksów: w Rosji — 1769, w Prusach — 1780, w Pensylwanii i Toskanii — 1786, w Austrii — 1788, we Francji — 1791, Rok IV, 1808 i 1810. Dla sądownictwa — to nowa era.

Wśród tylu zmian interesuje mnie zwłaszcza jedna: zniknięcie kaźni. Dziś zazwyczaj lekceważy się nieco ten fakt, może dlatego, że swego czasu stał się on okazją do przesadnych deklamacji; może zbyt łatwo i ze zbytnią emfazą składano go na karb „humanizacji”, co pozwalało nie zastanawiać się nad nim. A poza tym — jakąż może mieć wagę w porównaniu z wielkimi przemianami instytucjonalnymi, z jasnymi i powszechnymi kodeksami, z ujednoliconymi zasadami procedury, z wprowadzeniem niemal wszędzie ławy przysięgłych, z uznaniem charakteru kary za w zasadzie korektywny oraz z coraz wyraźniej rysującą się w XIX wieku tendencją do uzależniania wyroku od indywidualności winnego? Kary nie tak bezpośrednio fizyczne, niejaka dyskrecja w sztuce zadawania cierpień, gra

⁴ L. Faucher, *De la réforme des prisons*, 1838, s. 274-282.

subtelniejszych tortur, bardziej wyciszonych i odartych z ich widomej jaskrawości — czyż zasługuje to na jakąś specjalną uwagę, skoro jest zapewne jedynie skutkiem głębszych przekształceń? Jednak fakt pozostaje faktem: zniknęło, w ciągu paru dziesięcioleci, ciało umęczone, ćwiartowane, poddawane amputacji, symbolicznie piętnowane na twarzy lub ramieniu, wystawiane, za życia i po śmierci, na widok publiczny, obrócone w spektakl. Zniknęło ciało jako główny cel represji karnej.

Pod koniec XVIII wieku i z początkiem wieku XIX, choć miał kilka potężnych rozbłysków, ponury rytuał kaźni z wolna wygasa. W przemianie tej odegrały rolę dwa procesy. Ich uzasadnienia i chronologia nie są całkiem zbieżne. Z jednej strony — zamieranie karnego spektaklu. Ceremoniał kary cofa się w cień i pozostaje już tylko kolejnym aktem proceduralnym lub administracyjnym. Publiczną egzekucję po raz pierwszy zniesiono we Francji w 1791 roku, a potem raz jeszcze w roku 1830, po krótkim czasie przywrócenia; pręgierz usunięto w roku 1789; w Anglii w 1837. Roboty publiczne, które w Austrii, Szwajcarii i w niektórych stanach Ameryki, na przykład w Pensylwanii, kazano wykonywać na ulicach i drogach — skazańcom w żelaznych obrozach, w pstrokatym odzieniu, z kulą u nóg, wymieniającym z tłumem wyzwiska, obelgi, drwiny, kuksańce, sygnały niechęci bądź porozumienia⁵ — zostają prawie wszędzie zniesione pod koniec XVIII wieku albo w pierwszej połowie wieku XIX. Wystawianie na widok publiczny zostało w roku 1831 utrzymane we Francji, pomimo gwałtownych głosów krytycznych — „obrzydliwa scena”, mówił Real⁶ — a ostatecznie zniesione w kwietniu 1848 roku. Jeśli chodzi o kajdany, konwoje galerników, przemierzające całą Francję do Brestu i Toulonu, zostały zastąpione w roku 1837 przez przywoicie wyglądające, pomalowane na czarno furgony więzienne. Powoli kara schodziła ze sceny. Wszystko zaś, co miało

⁵ Robert Vaux, *Notices*, s. 45; cyt. w: N. K. Teeters, *They Were in Prison*, 1937, s. 24.

⁶ *Archives parlementaires*, seria druga, t. LXXII, 1 grudnia 1831.

w sobie ze spektaklu, było odtąd nacechowane negatywnie; skoro funkcje ceremonii karania przestawały być rozumiane, sam rytuał, który stanowił „konkluzję” zbrodni, podejrzewano o niejasne z nią pokrewieństwo: o to, że jej dorównuje, a nawet ją przewyższa dzikością, że przyzwyczajając widzów do bestialstwa, od którego chciano ich odstręczyć, że unaocznia częstotliwość zbrodni, że upodabnia kata do przestępcy, sędziów do morderców, że w ostatniej chwili odwraca role, czyniąc z torturowanego przedmiot litości albo podziwu. Powiedział to, bardzo wcześnie, Beccaria: „Widzimy, jak na zimno i bez skrupułów popełniane jest morderstwo, które przedtem przedstawiano nam jako straszliwą zbrodnię”⁷. Publiczna egzekucja okazuje się teraz ogniskiem soczewki, która na nowo rozpala przemoc.

Karanie będzie zatem zmierzało ku temu, by stać się najbardziej ukrytym elementem procesu sądowego. Ma to wielorakie konsekwencje: kara opuszcza dziedzinę nieledwie codziennej percepcji, by wejść w zakres świadomości abstrakcyjnej; skuteczność wiązana jest prędeż z jej nieuniknionym charakterem, niż z widomą gwałtownością kary; nie odrażający teatr, ale pewność, że się kary nie uniknie, ma odwozić od zbrodni; dostarczający przykładów mechanizm karania zmienia koleiny. A tym samym sprawiedliwość nie identyfikuje się publicznie z przemocą, która działa przy jej wymierzaniu. Fakt, że także zabija albo uderza, nie jest gloryfikacją jej siły, ale częścią jej samej, z istnieniem czego musi się godzić, choć trudno jest jej do tego się przyznać. Zmieniają się wyobrażenia o infamii: w wypadku kary-widowiska od szafotu wiało podejrzaną zgrozą; spowijała ona zarówno kata, jak i skazańca; a skoro zawsze mogła przekształcić w litość lub chwałę wstyd zadawany skazańcowi, tym samym obracała w infamię legalną przemoc kata. Od tej pory skandal i jawność podlegać będą innemu podziałowi: sam fakt skazania ma naznaczać przestępcę piętnem negatywnym i oczywistym,

⁷ C. de Beccaria, *Traité des délits et peines*, 1764, s. 101, wydanie F. Helie z 1856 roku, które tu będzie cytowane.

stąd publiczny charakter rozpraw i wyroku; natomiast egzekucja jest dodatkową hańbą, którą sprawiedliwość ze wstydem wymierza skazanemu; trzyma się zatem wobec niej z daleka, zawsze skłonna powierzyć ją innym, na dodatek w sekrecie. Brzydko jest zasługiwać na karę, ale i mało chwalebnie karać. Stąd podwójny system ochronny, jaki sprawiedliwość ustanowiła pomiędzy sobą a wymierzaną przez siebie karą. Wykonanie wyroku zaczyna stanowić dziedzinę autonomiczną, od której sprawiedliwość jest uwalniana przez mechanizm administracyjny; pozbawia się ją przykrego kłopotu przez wciągnięcie kary w biurokratyczną maszynę. Znamienne jest, że we Francji administracja więzień pozostawała przed długie lata w gestii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a administracja galer w gestii Ministerstwa Marynarki albo Ministerstwa Kolonii. Prócz owego podziału ról dokonuje się wyparcie teoretyczne: nie sądzicie, proszę, że zasadniczy sens kary, którą my, sędziowie, wymierzamy, polega na ukaraniu; ma ona poprawiać, wychowywać, „leczyć”. Technika amelioracji tłumy w karze to, co jest czystą ekspiacją za wyrządzone zło i zwalnia sędziów z niewdzięcznej roli kata. We współczesnej sprawiedliwości i pośród jej przedstawicieli jest jakiś wstyd przed karaniem, nie wykluczający skądinąd gorliwości — ta, przeciwnie, nieustannie wzrasta: w tej traumie wylęga się psycholog i szeregowy funkcjonariusz moralnej ortopedii.

Każń znika, bo zamiera spektakl, a także kończy się działanie na ciało. Rush, w 1787 roku: „Nie umiem wyrzec się nadziei, iż niedaleki jest czas, kiedy szubienica, pręgierz, szafot, bat i koło będą w historii tortur traktowane jako oznaki barbarzyństwa epok i państw i jako dowody wielkiego wpływu rozumu i religii na ludzkiego ducha”⁸. Rzeczywiście, Van Meenen, otwierając sześćdziesiąt lat później drugi kongres penitencjarny w Brukseli, wspominał czasy swego dzieciństwa jako zamkniętą epokę: „Widziałem ziemię usianą kołami, szubienicami, pręgierzami,

⁸ B. Rush, przed Society for Promoting Political Enquiries, w: N.K. Teeters, *The Cradle of the Penitentiary*, 1935, s. 30.

widziałem ohydne szkielety rozpięte na kołach”⁹. Piętnowanie zniesiono w Anglii w roku 1834 i we Francji w roku 1832; już w roku 1820 Anglia nie ośmielała się zastosować w całej rozciągłości kary głównej przewidzianej dla zdrajców (Thistlewood nie został poćwiartowany). Jedyne chłosta przetrwała jeszcze w niektórych systemach karnych (Rosja, Anglia, Prusy). Jednak, ogólnie rzecz biorąc, praktyki wymierzania kary zaczęły być czymś wstydlivym. Nie tykać ciała, a w każdym razie jak najmniej, i to po to, aby dosięgnąć w nim czegoś, co nie jest już samym ciałem. Powie ktoś: więzienie, areszt, ciężkie roboty, zesłanie, wysiedlenie, deportacja, które zajęły tak poczesne miejsce w nowoczesnych systemach penitencjarnych, to przecież kary „fizyczne”; w przeciwieństwie do grzywny działają, i to bezpośrednio, na ciało. Ale stosunek kara — ciało nie jest tu tożsamy z tym, czym był w wypadku kaźni. Ciało jest tu w sytuacji instrumentalnej i pośredniej: jeśli działa się na nie, zamykając je lub każąc mu pracować, czyni się tak po to, by pozbawić jednostkę jednej ze swobód pojmowanych równocześnie jako prawo i majątek. W trakcie owej penalizacji na ciało nakłada się sieć przymusów i wyrzeczeń, zobowiązań i zakazów. Cierpienie fizyczne, ból ciała samego w sobie, nie stanowią już elementów konstytutywnych kary. Kara zmieniała się ze sztuki niemożliwych do zniesienia doznań w ekonomię zawieszonych praw. Jeśli nawet sprawiedliwość musi posługiwać się ciałem podsądnych i dosięgać go, czyni to z daleka, na czysto, wedle surowych reguł i dla osiągnięcia znacznie „wyższego” celu. Nowa powściągliwość powoduje, że cała armia techników zajmuje miejsce kata, bezpośredniego anatoma cierpienia: to nadzorcy, lekarze, kapelani, psychiatrzy, psycholodzy, wychowawcy. Sama ich obecność przy skazańcu wyśpiewuje hymny na cześć sprawiedliwości, których tak jej potrzeba — gwarantuje bowiem, że ciało i ból nie są ostatecznym celem jej karzącego ramienia. Pomyślmy tylko: w dzisiejszej dobie nad skazanym na śmierć musi czuwać lekarz, i to do ostatniej chwili — przeciwstawiając się tym samym jako

⁹ Zob. *Annales de la Charité*, II, 1847, s. 529-530.

specjalista od dobrego samopoczucia, jako gwarant braku cierpienia funkcjonariuszom, których zadaniem jest pozbawienie życia. Kiedy zbliża się moment egzekucji, delikwentom robi się zastrzyki znieczulające. Oto utopia sądowego wstydu: odebrać życie unikając złego samopoczucia, pozbawić wszelkich praw bez narażania na cierpienie, wymierzać kary nie powodując bólu. Powoływanie się na psychofarmakologię i rozmaite fizjologiczne „wyłączniki”, nawet w trybie warunkowym, mieści się znakomicie w tak pojętym, „niecielesnym” systemie karnym.

Nowoczesne rytuały kary głównej świadczą o tym dwójakim procesie: zamieraniu spektaklu i anulowania bólu. W tym samym kierunku poszły — własnym rytmem — prawodawstwa europejskie: ta sama śmierć dla wszystkich, bez etykiety ujawniającej charakter zbrodni albo społeczny status zbrodniarza; śmierć, która nie trwa dłużej niż chwilę, której nie trzeba ani za życia opóźniać, ani pośmiertnie przedłużać; egzekucja, która dotyczy prędzej życia niż ciała. Precz z długą procedurą, gdzie śmierć jest odwlekana przez zamierzone przerwy i zwielokrotniana przez serię ponawianych ataków. Koniec z kombinacjami, które reżyserowano przy zabijaniu królobójców albo o jakich śnił na początku XVIII wieku autor dzieła *Hanging not Punishment Enough*¹⁰; chciał on, aby najpierw łamać skazańca kołem, potem chłostać do utraty przytomności, a następnie powiesić na łańcuchach i kazać powoli umierać z głodu. Dość mąk, gdzie skazany bywa włóczony na kracie (aby głowa nie roztrzaskała się o bruk), gdzie otwiera mu się brzuch i pospiesznie wrywa trzewia, aby zdążył jeszcze na własne oczy zobaczyć, jak wrzucane są w ogień, gdzie w końcu ucina się mu głowę i ćwiartuje ciało¹¹. Zredukowanie „tyśiąckrotnej śmierci” do prostej egzekucji kapitalnej wyznacza zupełnie nową moralność właściwą aktowi kary.

¹⁰ Tekst anonimowy, opublikowany w 1701 roku.

¹¹ Tortura zdrajców, opisana przez W. Blackstone’a w *Commentaire sur le Code criminel anglais*, przekł. 1776, I, str. 105. Jako że przekład miał wykazywać humanitaryzm prawodawstwa angielskiego w stosunku do starej ordynacji z 1760 r., komentator dodaje: „Przy tej przerażającej jako widowisko torturze winowajca nie cierpi wiele ani bardzo długo”.

Już w roku 1760 wypróbowano w Anglii (z okazji egzekucji lorda Ferrera) maszynę do wieszania (podpora usuwająca się spod nóg skazańca miała oszczędzić mu powolnej agonii i szarpaniny, jaka wywiązywała się pomiędzy ofiarą i katem). Została ona udoskonalona i ostatecznie wprowadzona w roku 1783, kiedy to zniesiono tradycyjną procesję z Newgate do Tyburn i, po Gordon Riots, skorzystano z przebudowy więzienia instalując szafoty wewnątrz Newgate¹². Słynny artykuł trzeci francuskiego kodeksu z 1791 roku — „każdemu skazanemu na śmierć zetnie się głowę” — ma potrójne znaczenie, a mianowicie: śmierć jednaka dla wszystkich („Przestępstwa tego samego rodzaju będą karane tym samym rodzajem kary, bez względu na stan i rangę winnego” — głosiła uchwała podjęta na wniosek Guillotina już 1 grudnia 1789 roku); dla każdego skazańca śmierć zadana od razu, bez „długotrwałych a tym samym okrutnych męczarni”, takich jak krytykowana przez Le Peletiera szubienica; i wreszcie: kara dotyczy jedynie samego skazańca — bo ścięcie, kara szlachty, jest mniej hańbiąca dla rodziny zbrodniarza¹³. Gilotyna, będąca w użyciu od marca 1792 roku, to mechanizm zapewniający realizację powyższych zasad. Śmierć sprowadza się tu do widzialnego, acz chwilowego wydarzenia. Kontakt między prawem czy tymi, którzy są jego narzędziem, a ciałem zbrodniarza zredukowano do błyskawicznego cięcia. Konfrontacji fizycznej brak; katowi pozostaje jedynie rola skrupulatnego zegarmistrza. „Doświadczenie i rozum pouczają, że sposób ścinania głowy zbrodniarza, używany w przeszłości, wystawia na mękę straszliwszą niż zwykle pozbawienie życia, będące formalnym wymogiem prawa, żądającym, aby egzekucja była wykonana w jednej chwili i za jednym zamachem; przykłady dowodzą, jak trudno to osiągnąć. Trzeba koniecznie, aby działanie było pewne, by zależało ono od niezawodnych urządzeń mechanicznych, których zarówno

¹² Zob. Ch. Hibbert, *The Roots of Evil*, wyd. z 1966, s. 85-86.

¹³ Le Peletier de Saint-Fargeau, *Archives parlementaires*, t. XXVI, 3 czerwca 1791, s. 720.

siła, jak i skutek powinny być możliwe do określenia. Całkiem łatwo skonstruować taką maszynę, której skutek jest niezawodny: ścięcie dokonywać się będzie w jednej chwili, zgodnie z wymaganiami nowego prawa. Urządzenie to, jeśli okaże się konieczne, nie wzbudzi żadnej sensacji i będzie prawie niewidzialne”¹⁴. Prawie nie dotykając ciała gilotyna pozbawia życia, tak samo jak więzienie odbiera wolność, a grzywna pomniejsza majątek. Ma stosować prawo nie tyle wobec rzeczywistego ciała, zdolnego odczuwać ból, ile wobec podmiotu prawnego, posiadającego, wśród wielu innych praw, prawo do istnienia. Ma być abstraktem samego prawa.

Nie ulega wątpliwości, że we Francji kaźń rzucała jeszcze przez pewnen czas swój cień na wstrzemięźliwą już egzekucję. Ojcobójcy i królobójcy, których z nimi utożsamiano, byli prowadzeni na szafot w czarnym welonie; tam, aż do roku 1836, ucinano im dłoni. Potem pozostał już tylko ozdobnik w postaci krepy. Tak było w wypadku Fieschiego, w listopadzie 1836 roku: „Ma być zaprowadzony na miejsce egzekucji w koszuli, boso i z głową przykrytą czarnym welonem; ma być wystawiony na widok publiczny na szafocie, podczas gdy urzędnik odczyta ludziom treść wyroku, poczem niezwłocznie ma zostać stracony”. Warto przypomnieć sobie Damienisa. I odnotować, że ostatnim dodatkiem do kary śmierci był żałobny welon. Skazaniec nie musi już być widoczny. Tylko lektura wyroku z szafotu oznajmia o zbrodni, która nie ma twarzy¹⁵. Ostatnia, zabytkowa już pozostałość wielkiej kaźni, jest zarazem jej anulowaniem: draperią, mającą ukryć ciało. Oto egzekucja Benoita, potrójnie zhańbionego — to matkobójca, homoseksualista, morderca — pierwszego z matkobójców, któremu prawo oszczędziło ucięcia dłoni. „Podczas od-

¹⁴ A. Louis, *Rapport sur la guillotine*, cytowany przez Saint-Edme, *Dictionnaire de la pénalité*, 1825, t. IV, s. 161.

¹⁵ Częsty w owym czasie temat: zbrodniarz, właśnie dlatego, że jest potworny, ma być odsunięty od światła — nie widzieć, nie być widzianym. Dla ojcobójcy należałoby „zbudować żelazną klatkę albo wydrążyć nieprzenikniony loch, który będzie mu służył za wieczne schronienie”. De Molène, *De l'humanité des lois criminelles*, 1830, s. 275-277.

czytywania sentencji wyroku stał na szafocie, podtrzymywany przez oprawców. Było w tym widoku coś strasznego; owinięty białym całunem, z twarzą przesłoniętą czarną krepą, matkobójca wymykał się spojrzeniom milczącego tłumu, a pod tym tajemniczym i ponurym odzieniem życie dawało o sobie znać jedynie straszliwym wyciem, które wkrótce zamarło pod ciosem ostrza”¹⁶.

Tak więc z początkiem XIX wieku zamiera wielki spektakl kary fizycznej; oszczędza się widoku torturowanego ciała; wyklucza się z kary teatralność cierpienia. Wkraczamy w epokę wstrzemięźliwości karnej. Można uważać zanik kaźni za gotowy fakt mniej więcej około lat 1830-1848. To ogólne stwierdzenie wymaga oczywiście uzupełnień. Po pierwsze zmiany nie dokonały się od razu ani nie miały tego samego przebiegu. Były opóźnienia. Paradoksalnie Anglia okazała się jednym z krajów najbardziej opornych wobec zniesienia publicznej egzekucji, być może z powodu zasadniczej roli, jaką nadały jej wymiarowi sprawiedliwości instytucja ławy przysięgłych, jawność procesu sądowego, przestrzeganie zasady *habeas corpus*; niewątpliwie odegrał też rolę fakt, że nie chciała zmniejszać surowości swego prawa karnego w czasach wielkich niepokojów społecznych lat 1780-1820. Przez długie lata Romilly, Mackintosh i Fowell Buxton ponosili porażki, starając się złagodzić częstotliwość i ciężar kar przewidywanych przez prawo angielskie — tę „straszną rzeźnię”, jak mawiał Rossi. Jego surowość (przynajmniej gdy chodzi o kary przewidywane, gdyż stosowanie było tym bardziej pobłażliwe, im bardziej prawo wydawało się ławie przesadne) nawet wzrosła, skoro w roku 1760 Blackstone wymienia 160 zbrodni głównych w prawodawstwie angielskim, a w roku 1819 było ich 223. Należałoby także wziąć pod uwagę przyspieszenia i zahamowania, jakim cały proces podlegał pomiędzy latami 1760-1840; gwałtowność reformy w niektórych krajach, takich jak Austria czy Rosja, Stany Zjednoczone, Francja w epoce Konstytuanty, potem odływ w czasie kontrrewolucji w Europie i wielkich lęków

¹⁶ „Gazette des tribunaux”, 30 sierpnia 1832.

społecznych lat 1820-1848, mniej lub bardziej chwilowe zmiany wnoszone przez sądy oraz ustawy wyjątkowe; rozbieżności między ustawami a rzeczywistą praktyką sądów (która nie zawsze jest wiernym odbiciem prawodawstwa). Wszystko to sprawia, że ewolucja, jaka zaistniała na przełomie XVIII i XIX wieku, miała przebieg bardzo nieregularny.

Ponadto, choć podstawowy kształt przemian był już zarysowany około roku 1840, choć mechanizmy karania zaczęły już funkcjonować inaczej, cały ten proces daleki był od finału. Tendencja do eliminowania kaźni zakorzenia się na gruncie wielkiej przemiany lat 1760-1840, ale nie jest w nią jeszcze całkowicie wrośnięta; rzecz można, że praktyka egzekucji publicznej przez długie lata nawiedzała nasz system karny i przemieszkuję w nim jeszcze dziś. Gilotyna, owa maszyneria szybkiej i dyskretnej śmierci, wytworzyła we Francji nową etykę kary głównej. Rewolucja od razu uczyniła z niej jednak wielki spektakl teatralny. Przez całe lata stanowiła widowisko. Trzeba było aż przenosić ją na rogatki Saint-Jacques, zastąpić odkryty wózek zamkniętym powozem, przepychać chyłkiem skazańca z furgonu na szafot, organizować pospieszne egzekucje o nieprzewidzianej porze, wreszcie ulokować gilotynę w obrębie więzienia i usunąć sprzed oczu publiczności (po egzekucji Weidmanna w 1939 roku), blokować ulice umożliwiające dostęp do więzienia, gdzie ukryto gilotynę i gdzie egzekucje przeprowadza się w tajemnicy (egzekucja Buffeta i Bontempsa w więzieniu Santé w 1972 roku), stawiać w stan oskarżenia świadków, którzy rozgłaszają miejsce i datę — aby egzekucja przestała wreszcie być widowiskiem, a stała się osobliwym sekretem organów wymiaru sprawiedliwości i skazańca. Wystarczy wyliczyć te środki ostrożności, by uświadomić sobie, że kara śmierci dziś jeszcze jest w gruncie rzeczy spektaklem, który musi być — prawomocnie — zakazywany.

Jeśli zaś idzie o działanie na ciało, także i ono nie zniknęło doszczętnie w połowie XIX wieku. Bez wątpienia kara przestała koncentrować się na kaźni jako technice zadawania cierpienia; obrała za swój główny cel pozbawie-

nie mienia lub praw. Jednak takie kary jak ciężkie roboty czy nawet więzienie — czyste pozbawienie wolności — nigdy nie funkcjonowały bez pewnego karnego naddatku, który przecież dotyczy ciała: bez racjonowania żywności, wstrzemięźliwości seksualnej, chłosty, karceru. Czy jest to tylko niezamierzony, choć nieunikniony skutek pozbawienia wolności? W rzeczywistości więzienie w swych najbardziej jawnych wytycznych zawsze rezerwowało dla skazanego pewną dozę udręk cielesnych. Krytyka, często formułowana pod adresem systemu penitencjarnego w pierwszej połowie XIX wieku (więzienie nie jest dość dolegliwe, więźniowie cierpią mniej dotkliwy głód, mniejsze zimno, są ogólnie mniej pozbawieni pewnych dóbr niż większość biedaków, a nawet robotników), postuluje coś, co nigdy nie zostało otwarcie postawione: sprawiedliwie jest, aby skazaniec cierpiał fizycznie więcej niż inni ludzie. Kara z trudem wyzbywa się naddatku fizycznego bólu. Czyż może istnieć bezcielesne wymierzanie kary?

Podłoże kaźni we współczesnych mechanizmach sądownictwa kryminalnego istnieje w dalszym ciągu — podłoże, które nie zostało opanowane, więc coraz powszechniej przysyłania się je penalizacją tego, co niecielesne.

*

Złagodzenie surowości kar w ciągu ostatnich dwu wieków jest zjawiskiem dobrze znanym historykom prawa. Jednak długo było traktowane globalnie jako zjawisko ilościowe: „mniej okrucieństwa, mniej cierpień, więcej łagodności, więcej szacunku, więcej humanitaryzmu”. W rzeczywistości przekształceniom tym towarzyszy pewne przesunięcie w samym przedmiocie operacji karnej. Mniejsza surowość? Być może. Ale z całą pewnością zmiana punktu odniesienia.

Jeśli nie ku ciału zwraca się teraz penalizacja w swych najokrutniejszych przejawach, gdzie zatem znajduje oparcie? Odpowiedź teoretyków — którzy około roku 1760 otwierają nową epokę, nie zamkniętą po dziś dzień — jest prosta, prawie oczywista. Zawiera się w samym pytaniu.

Skoro nie chodzi już o ciało, chodzi zatem o duszę. Po egzekucji, która wyładowuje się na ciełe, kolej na karę, która głęboko zapadnie w serce, myśl, osiągnie woli, przekonań. Mably sformułował tę zasadę raz na zawsze: „Niechaj kara, jeśli wolno tak rzec, godzi raczej w duszę niż w ciało”¹⁷.

Ważny moment. Odwieczni współuczestnicy demonstracyjnie wykonywanej kary — ciało i krew — ustępują ze sceny. Wkracza nowa, zamaskowana postać. Kończy się pewna tragedia; komedia zaczyna się wraz z teatrem cieni, głosami bez twarzy, nienamacalnymi istotami. Aparat sprawiedliwości karnej winien wgryzać się teraz w tę bezcielesną realność.

Czy nie jest to aby zwykłe teoretyczne twierdzenie, któremu praktyka karna zadaje kłam? Takie skwitowanie problemu byłoby pochopne. Prawdą jest, że dzisiaj kara nie polega na prostej konwersji duszy, jednak zasada Mably'ego nie pozostała tylko pobożnym życzeniem. Jej skutki są widoczne w całej współczesnej penalizacji.

Przede wszystkim substytucja przedmiotowa. Nie chce przez to powiedzieć, że zaczęto nagle karać inne zbrodnie. Niewątpliwie, definicja pogwałceń prawa, hierarchia ich ważności, margines pobjaźniania, to, co tolerowano faktycznie i to, co legalnie dozwolano — wszystko to uległo znacznym zmianom w okresie ostatnich dwustu lat; wiele zbrodni przestało nimi być, ponieważ wiązały się ze swoistym sprawowaniem władzy religijnej lub pewnym rodzajem gospodarki; bluźnierstwo zatraciło status zbrodni, kontrabanda albo kradzież domowa — część swej naganności. Jednak nie te przesunięcia być może są tu najważniejsze: podział na to, co dozwolone i na to, co zakazane zachował przez wieki relatywną trwałość. To sam przedmiot „zbrodnia”, to, czego dotyczy praktyka karna, zmienił się zasadniczo: nie jego definicja formalna, a raczej jakość, natura, w jakiś sposób substancja, która składa się na podlegający karze żywioł. Względna stabilność prawa udzieliła schronienia szeregowi subtelnych i szybkich zmian. W dalszym

ciągu oczywiście pod mianem zbrodni i deliktów sądzi się obiekty jurydyczne określone przez kodeks, ale zarazem osądza się namiętności, instynkty, anomalie, kalektwa, nieprzystosowanie, obciążenia środowiskowe lub dziedziczne; karze się agresje, ale poprzez nie agresywność; gwałty, ale zarazem perwersję; morderstwa, które wzięły się z instynktów i żądz. Powie ktoś: nie one są tu sądzone; przywołuje się je po to, żeby wyjaśnić fakty, które mają być osądzone i określić, w jakim stopniu wola podmiotu była zaangażowana w popełnioną zbrodnię. Niezadowolająca odpowiedź. Bowiem to one, te cienie ukryte za przedmiotowymi elementami sprawy, zostały tutaj osądzone i ukarane. Osądzone za pośrednictwem „okoliczności łagodzących”, które wprowadzają do werdyktu nie tylko sytuacyjne elementy „okolicznościowe” czynu, ale i coś całkiem innego, co nie da się prawnie skodyfikować: znajomość zbrodniarza, ocenę, którą się o nim wydaje, to, czego można dowiedzieć się o stosunkach pomiędzy nim, jego przeszłością a jego zbrodnią; to, czego można od niego oczekiwać w przyszłości. Osądzone również przez grę pojęć, jakie krążyły pomiędzy medycyną i prawodawstwem od XIX wieku („potwory” z czasów Georgeta, „anomalie psychiczne” rodem z okólnika Chaumiera, „perwersje” i „nieprzystosowania” ze współczesnych ekspertyz) — pod pozorem wyjaśniania czynu są one sposobami oceniania jednostki. Piętnowane są karą, której zadaniem ma być uczynienie przestępcy „nie tylko chcącym, ale i zdolnym do życia w poszanowaniu prawa i zaspokajaniu swych potrzeb”; piętnowane są wewnętrzną ekonomią kary, która wprawdzie równoważy zbrodnię, ale zawsze może ulec zmianie (skróceniu, albo, jeśli trzeba, wydłużeniu) w zależności od zachowania skazanego; piętnowane są nadto grą „środków bezpieczeństwa”, które towarzyszą karze (zakaz pobytu, ograniczenie poruszania się, dozór kuratorski, przymusowe leczenie) — nie służą one zadośćuczynieniu, ale kontroli indywiduum, neutralizacji jego stanowiącego zagrożenie stanu, modyfikacji jego zbrodniczych skłonności i nie ustają, dopóki cel nie zostanie osiągnięty. Nie po to pozywa się przed sąd duszę zbrodniarza, żeby

¹⁷ G. de Mably, *De la législation. Oeuvres complètes*, 1789, t. IX, s. 326.

wyjaśniła jedynie popełnioną zbrodnię i została wprowadzona jako element sądowego określenia odpowiedzialności; doprowadza się ją z taką emfazą, z taką troską o zrozumienie i z tak wielkim „naukowym” staraniem po to, żeby ją osądzić razem ze zbrodnią i roztoczyć nad nią opiekę, kiedy zapadnie wyrok. Do całego karnego rytuału, od śledztwa poczynając a na wyroku i ostatnich reperkusjach kary kończąc, wprowadzono dziedzinę przedmiotową, która będzie dublować a zarazem niweczyć sędowniczo określone i skodyfikowane obiekty. Ekspertyza psychiatryczna i, ogólniej, antropologia kryminalna oraz drobiazgowy dyskurs kryminologiczny pełnią tutaj określone funkcje: uroczyście zaliczając naruszenia prawa do dziedziny przedmiotów naukowo poznawalnych, mają dostarczyć mechanizmowi legalnej kary zasięg, który rozciąga się nie tylko na naruszenia prawa, ale i na jednostki: nie tylko na to, co uczyniły, ale i na to, czym są, będą, mogą być. Suplement duszy, który sprawiedliwość sobie zapewniła, z pozoru eksplikatywny i limitatywny, jest w istocie aneksjonistyczny. Od stu pięćdziesięciu zatem czy dwustu lat, odkąd Europa wprowadziła nowe systemy karne, sędziowie z wolna, ale w zgodzie z procesem sięgającym znacznie dawniejszych czasów, zaczęli sądzić coś innego niż samą zbrodnię: „duszę” zbrodniarza.

Tym samym zaś zajęli się czymś innym niż sądenie. Albo też, dokładniej rzecz biorąc, do samego postępowania sądowego wśliznęły się innego typu oceny, w zasadniczy sposób przekształcające reguły procesowe. Odkąd Średniowiecze zbudowało, nie bez trudu i nie od razu, wielką procedurę śledztwa, sądenie stało się ustalaniem faktu zbrodni, określaniem jej sprawcy oraz zastosowaniem doń sankcji prawnej. Znajomość zbrodni, znajomość sprawcy, znajomość prawa — te trzy warunki pozwalały ufundować wyrok na prawdzie. Tymczasem teraz w przebieg sądenia wpisuje się całkiem inne pytanie o prawdę. Już nie po prostu: „Czy fakt jest ustalony i ma znamiona deliktu?” ale także: „Czym jest ten czyn, ten gwałt lub morderstwo? W jaką płaszczyznę, w jaką dziedzinę rzeczywistości należy je wpisać? Czy to fantazmat, reakcja psychotyczna, sza-

leńczy wybryk, czy perwersja?” Już nie po prostu: „Kto jest sprawcą?”, ale: „Jak określić proces przyczynowy, który doprowadził do zbrodni? Gdzie, w samym sprawcy, leży przyczyna? W instynkcie, podświadomości, środowisku, dziedziczności?” Nie po prostu: „Jaka jest prawna sankcja za to pogwałcenie prawa?”, ale: „Jaki dobrać najodpowiedniejszy środek zaradczy? Jak przewidzieć ewolucję podsądnego? W jaki sposób najskuteczniej sprowadzić go na prostą drogę?” W obrębie wyroku karnego pojawił się cały szereg ocenających, diagnostycznych, prognostycznych i normatywnych osądów na temat zbrodniczej jednostki. W prawdę, jakiej spodziewano się po mechanizmie przewodu sądowego, wniknęła inna prawda: przemieszana z pierwszą, czyni ona z konstatacji winy osobliwy kompleks naukowo-jurystyczny. Fakt o wielkim znaczeniu: sposób, w jaki ewoluował problem szaleństwa w praktyce karnej. W kodeksie z roku 1810 występowało ono jedynie w postaci artykułu 64. Ten zaś głosi, że nie zachodzi ani zbrodni, ani delikt, jeśli gwałciiciel prawa w momencie popełnienia czynu znajdował się w stanie obłądu. Możliwość przypisania szaleństwa wykluczała zatem możliwość uznania czynu za zbrodniczy: jeśli sprawca był szalony, ani nie zmniejszała się waga jego gestu, ani nie malała należąca mu kara — po prostu sama zbrodnia przestawała istnieć. Nie było zatem można uznać kogoś zarazem za winnego i za szalonego. Jeśli zostało sformułowane orzeczenie szaleństwa, było ono nie do pogodzenia z wyrokiem; kładło kres procedurze i zamykało wymiarowi sprawiedliwości dostęp do sprawcy czynu. Nie tylko badanie zbrodniarza podejrzanego o obłąd, ale i efekty tego badania powinny poprzedzać wyrok i być od niego niezależne. Jednakże dosyć wcześnie dziewiętnastowieczne trybunały poczęły niewłaściwie rozumieć znaczenie artykułu 64. Pomimo licznych orzeczeń Sądu Najwyższego wskazujących, że stan obłądu nie pociąga za sobą ani złagodzenia kary, ani nawet uwolnienia od niej, a jedynie umorzenie sprawy, były one powoływać się na okoliczność szaleństwa w samym wyroku. Przyjęły, że można być zarazem winnym i niepoczytalnym — tym mniej winnym, im bardziej szalonym; z pew-

nością winnym, lecz godnym raczej odosobnienia i leczenia niż kary; niebezpiecznym winnym, gdyż w sposób oczywisty chorym itd. Z punktu widzenia kodeksu karnego były to zupełne absurdy prawnicze. Ale od tego właśnie rozpoczął się proces zmian, za którymi podąży sądownictwo i prawodawstwo w ciągu następnych 150 lat: już reforma z roku 1832, wprowadzająca okoliczności łagodzące, zezwalała na modyfikację wyroku zależnie od przypuszczalnego stopnia choroby albo przejawów niepełnej poczytalności. Zaś praktyka ekspertyzy psychiatrycznej, powszechna przed sądem karnym, a z czasem rozszerzona i na sąd poprawczy sprawia, że nawet jeśli wyrok został ujęty w formuły przepisane prawem, zawiera w sposób mniej lub bardziej wyraźny opinię na temat normalności, wyznaczanie związków przyczynowych, oszacowanie możliwej poprawy, przewidywanie przyszłości przestępców. O operacjach tych jedynie z trudem da się powiedzieć, że stanowią zewnętrzne przygotowanie dla trafnego wydania wyroku. Zostają one bezpośrednio włączone w proces kształtowania sentencji. Zgodnie z pierwotnym sensem paragrafu 64 szaleństwo wymazywało zbrodnię; teraz każda zbrodnia i każdy najmniejszy występki zawiera w sobie jako uprawnione podejrzenie, ale i prawo, którego można dochodzić, domniemanie obłądki, a w każdym razie odchylenia od normy. A wyrok, który skazuje lub uniewinnia, nie jest po prostu osądem winy, ustaleniem prawnych sankcji; zawiera się w nim również ocena normalności i techniczna receptura możliwej korekcji. Sędzia naszych czasów, czy to zawodowy, czy też przysięgły, uprawia zatem coś całkiem innego niż „sądzenie”.

Nie grozi mu przy tym samotność. Podczas przewodu sądowego i wykonywania kary mnożą się instancje dodatkowe. Pomniejsze trybunały i sędziowie *in spe* cisną się w kolejce do wyroku zasadniczego: biegli psychiatrzy i psycholodzy, funkcjonariusze więzienni, wychowawcy, urzędnicy administracji penitencjarnej — rozdrabniają i dzielą legalną władzę karania. Ktoś powie, że żaden z nich nie uszczupla rzeczywistej władzy sądu; że jedni, po wyroku, mają tylko prawo wykonania kary ustalonej przez sąd,

ci drudzy natomiast — eksperci — wkraczają przed wyrokiem nie po to, żeby osądzać, ale oświecać sędziów przed podjęciem decyzji. Ale odkąd kary i środki zaradcze ustanowione przez sąd nie są określone absolutnie, gdy mogą być po drodze zmieniane, odkąd pozwala się komuś innemu niż sędziom decydować, czy skazany „zasługuje” na zawieszenie kary bądź zwolnienie warunkowe, skoro ktoś inny wyznacza kres penalizacji, oznacza to, że oddaje się w ręce innych i pozostawia ich ocenie prawne mechanizmy kary; to sędziowie, wprawdzie dodatkowi, ale jednak sędziowie. Aparat rozbudowywany z biegiem lat wokół zagadnienia stosowania kary i jej indywidualizacji pomnaża instancje decyzyjne sądu i sprawia, że ich zakres wykracza poza ogłoszenie wyroku. Biegli psychiatrzy co prawda dysponują możliwością, by uniknąć wydawania wyroków. Zgodnie ze stanem aktualnym, wedle okólnika z 1958 roku, powinni oni odpowiedzieć na trzy pytania: Czy stan podsądnego jest niebezpieczny? Czy może podlegać sankcji karnej? Czy jest uleczalny lub zdolny do resocjalizacji? Pytania te nie mają związku z paragrafem 64 ani z domniemanym szaleństwem w momencie popełnienia czynu. Nie zostały postawione w kategoriach „odpowiedzialności”. Dotyczą jedynie wymierzania kary, jej konieczności, jej użyteczności, jej dającej się przewidzieć skuteczności; pozwalają odpowiedzieć, w słabo jeszcze skodyfikowanym słowniku, na pytanie, czy zakład psychiatryczny będzie odpowiedniejszy od więzienia, czy ubezwłasnowolnienie ma być długie czy krótkie, czy potrzebne jest leczenie medyczne, czy inne środki zaradcze. Rola psychiatry w materii sądowniczej? To nie ekspert od odpowiedzialności, ale doradca przy wymierzaniu kary; do niego należy stwierdzenie, czy podsądny jest „niebezpieczny”, jak się przed nim zabezpieczyć, co zrobić, by go zmienić, czy będzie tu lepsza kara czy opieka. Na początku zadanie opinii psychiatrycznej sprowadzało się do sformułowania „prawdziwych” twierdzeń o udziale wolnej woli przestępcy w popełnionym przez niego czynie; obecnie ma tworzyć receptę czegoś, co można by nazwać „kuracją medyczno-sądową”.

Podsumujmy: od kiedy działa nowy system karny — sformułowany przez wielkie kodeksy XVIII i XIX wieku

— pewien ogólnej natury proces doprowadził do tego, że sędziowie sądzą coś innego niż zbrodnie; zostali zmuszeni, by w swych sentencjach umieszczać coś innego niż wyrok, zaś władza sądenia została w części przelana na inne niż sędzia instancje. Cała operacja karania została poszerzona o elementy i osoby pozasądowe. Powiada się, że nic w tym nie ma nadzwyczajnego i że przeznaczeniem prawa jest stopniowe wchłanianie obcych mu elementów. Ale jest coś szczególnego we współczesnym sądownictwie kryminalnym: poszerza ono swój zakres o tyle elementów pozaprawnych nie po to, żeby móc je następnie zdyskontować prawnie i stopniowo włączyć w ścisły zakres wiedzy sądowniczej; przeciwnie, czyni to, aby móc powołać się na nie w ramach operacji penitencjarnej jako na elementy pozasądowe, a to w tym celu, aby odebrać tej operacji charakter postępowania czysto i wyłącznie karnego i zdjąć z barków sędziego odpowiedzialność kogoś, kto jedynie, po prostu i zwyczajnie, karze: „Naturalnie, wydajemy wyrok, ale nie tyle ze względu na zbrodnię, sami widzicie, że traktujemy go jako sposób obchodzenia się ze zbrodniarzem, skazujemy, ale to tylko pewien sposób mówienia — my chcemy go uleczyć”. Obecnie wymiar sprawiedliwości istnieje i szuka usprawiedliwienia jedynie dzięki owemu nieustannemu odwoływaniu się do czegoś innego niż on sam, dzięki stałemu wpisywaniu się w systemy pozaprawne. Jest więc skazany na ciągłe redefiniowanie przez wiedzę.

Pod wzrastającą łagodnością kar można zatem odkryć przemieszczenie ich punktu odniesienia, zaś dzięki temu przemieszczeniu nowe pole przedmiotowe, nowe królestwo prawdy i tłum ról nieznanych potąd doświadczeniu sądownictwa kryminalnego. Tworzy się tu i krzyżuje z praktyką władzy sądowniczej pewna wiedza oraz techniki i dyskursy „naukowe”.

Cel tej książki: korelatywna historia współczesnej duszy i nowej władzy sądenia; genealogia współczesnego kompleksu naukowo-sądowego, w którym szuka oparcia, znajduje usprawiedliwienie i reguły, osiąga efektywność i skrywa swą niezwykłą drobiazgowość współczesna władza wymierzania kary.

Na czym jednak oprzeć historię tej współczesnej duszy, która została oddana pod sąd? Gdy ograniczyć się jedynie do ewolucji reguł prawnych albo procedur karnych, pojawia się ryzyko, że przypisywać się będzie całościowy, zewnętrzny, masywny i pierwotny charakter czy to zmianom świadomości zbiorowej, czy to postępowi humanizmu, czy to rozwojowi nauk humanistycznych. Ktoś, kto wzorem Durkheima¹⁸ zechciałby badać jedynie ogólne formy społeczne, naraża się na to, że za podstawę łagodzenia kary uzna procesy indywidualizacji, choć w rzeczywistości są one raczej tylko jednym z efektów nowych taktyk stosowanych przez władzę, a wśród nich — nowych mechanizmów penalizacji. Niniejsza rozprawa podlega czterem ogólnym regułom:

1. Nie zacieśniać badań nad mechanizmami karnymi tylko do skutków „represyjnych”, do aspektu „sankcjonowania”, ale objąć nimi również całą serię skutków pozytywnych, jakie mechanizmy te mogą wyzwać, choćby na pierwszy rzut oka skutki te wydawały się marginalne. Potraktować zatem karę jako złożoną funkcję społeczną.

2. Analizować metody karania nie jako proste konsekwencje przepisów prawa lub identyfikatory struktur społecznych, ale jako swoiste techniki, które należałoby widzieć w szerszym kontekście metod sprawowania władzy. Spójrzeć więc na karę z perspektywy taktyki politycznej.

3. Zamiast traktować historię prawa karnego i historię nauk humanistycznych jako dwa odrębne wątki, których skrzyżowanie wywierałoby na jeden lub drugi, a może na oba pożyteczny lub — zdaniem innych — niekorzystny wpływ, sprawdzić, czy aby nie mają one wspólnej matrycy i czy oba nie zależą od procesu kształtowania „epistemologiczno-jurystycznego”. Słowem, uznać technologię władzy i za podstawę humanizacji sądownictwa, i wiedzy o człowieku.

4. Zbadać, czy owo wkroczenie duszy na scenę sprawiedliwości, a wraz z nim włączenie do praktyki sądów całej

¹⁸ E. Durkheim, *Deux lois de l'évolution pénale*, „Année sociologique” IV, 1899-1900.

wiedzy „naukowej”, nie jest aby wynikiem zmiany sposobu, w jaki ciało jest blokowane¹⁹ przez relacje władzy.

W sumie — podjąć studia nad metamorfozą metod karania w oparciu o polityczną technologię ciała, z których dałoby się wyczytać wspólną historię stosunków władzy i stosunków przedmiotowych. W ten sposób, dzięki analizie łagodności kar jako techniki sprawowania władzy, można będzie zrozumieć, jak to się stało, że człowiek, dusza, jednostka normalna lub anormalna pojawiły się w miejscu zbrodni jako przedmioty interwencji penitencjarnej — jak i to, w jaki sposób specyficzny rodzaj ujarzmienia²⁰ mógł zrodzić człowiecze „ja”, uchodzące za przedmiot dyskursu korzystającego z prestiżu naukowości.

Bynajmniej nie uważam się za pierwszego, który zmierza w tym kierunku²¹.

*

Z wielkiej książki Rusche'a i Kirchheimera²² warto zapożyczyć kilka zasadniczych punktów odniesienia. Najpierw pozbyć się złudzenia, że system karny jest przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) sposobem napiętnowania zbrodni i że pełniąc tę funkcję może być surowy lub łagodny, nastawiony na pokutę lub poprawę, na ściganie jednostek lub egzekwowanie odpowiedzialności zbiorowej — w zależności od formacji społecznych, systemów politycznych czy przekonań. Analizować trzeba raczej „konkretne systemy penitencjarne” — badać je jako zjawiska

¹⁹ *Investissement* — słowo to ma dwa różne znaczenia: „osaczenie, obłożenie” i „inwestycja, lokata kapitału”. Foucault konsekwentnie używa tego słowa w obu znaczeniach, stąd taka próba przekładu. Zob. Posłowie — przyp. tłum.

²⁰ Podstawowa teza tej książki brzmi: *sujet* (podmiot) bierze się z *assujettissement* (ujarzmienia, podległości). Zob. Posłowie — przyp. tłum.

²¹ Tak czy inaczej nie byłbym w stanie oddać w przypisach czy cytatach ogromu tego, co książka niniejsza ma do zawdzięczenia G. Deleuze'owi i pracom, jakie prowadzi on z F. Guattarim. Musiałbym także w wielu miejscach powoływać się na *Psychanalisme* R. Castela i wyznać, jak czuję się zobowiązany wobec P. Nora.

²² G. Rusche, O. Kirchheimer, *Punishment and Social Structures*, 1939.

społeczne, których nie tłumaczy do końca ani armatura prawna społeczeństwa, ani jego fundamentalne wybory etyczne; umieszczać je we właściwym im obszarze funkcjonowania, gdzie nie wszystko sprowadza się do ścigania zbrodni; pokazywać, że środki prawne nie są prostymi mechanizmami „negatywnymi”, pozwalającymi na tłumienie, zapobieganie, wykluczanie, eliminowanie, ale również wiążą się z szeregiem skutków dodatnich i pozytywnych, dla których mają być podbudową (w tym sensie można powiedzieć, że jeśli legalne kary są sankcją za pogwałcenie prawa, definicja pogwałceń prawa i ich ściganie istnieją po to, aby ze swej strony podtrzymywać mechanizmy karania i ich funkcjonowanie). To myślenie pozwoliło Rusche'owi i Kirchheimerowi ustalić relację różnych systemów karnych do systemów produkcji, które je wykorzystują. I tak w ekonomii niewolniczej mechanizmy karne miałyby za zadanie dostarczanie dodatkowej liczby rąk do pracy i tworzenie niewolnictwa „obywatelskiego” — prócz tego, które pochodziło z wojny i handlu; w feudalizmie, a jest to epoka, gdy pieniądz i produkcja są mało rozwinięte, mielibyśmy być świadkami nagłego wzmocnienia kar cielesnych, ponieważ ciało bywało w większości wypadków jedynym dobrem; zakład penitencjarny — Hôpital General, Spinhuis czy Rasphuis — roboty przymusowe oraz karne manufaktury pojawiają się wraz z rozwojem gospodarki rynkowej. Ponieważ jednak system przemysłowy wymaga wolnego rynku siły roboczej, udział pracy przymusowej w mechanizmach kary w wieku XIX ulega zmniejszeniu, zastępuje go „resocjalizujące” odosobnienie. Taka interpretacja może, oczywiście, budzić wiele wątpliwości.

Warto jednak zapamiętać hipotezę ogólną, wedle której w naszych społeczeństwach systemy penitencjarne powinny być włączone w swego rodzaju „ekonomię polityczną” ciała: nawet jeśli nie odwołują się one do gwałtownych i krwawych pomist, nawet kiedy posługują się metodami łagodnymi (pozbawieniem wolności i resocjalizacją), mimo wszystko chodzi w nich o ciało — o ciało i jego siły, o ich podatność i przydatność, ich rozdysponowanie i podporządkowanie. Tworzenie historii kary na tle idei moral-

nych albo struktur prawnych bez wątpienia jest prawomocne. Ale czy można tworzyć ją na tle historii ciała, odkąd uważamy, że jedynym celem kary jest sekretna dusza zbrodniarza?

Do historii ciała historycy zabierali się od dawna. Badali ciało w obszarze demografii lub patologii historycznej. Rozważali je jako siedlisko potrzeb i pragnień, jako miejsce procesów fizjologicznych i metabolizmów, jako cel ataków wirusów i bakterii; wykazywali, do jakiego stopnia procesy historyczne uzależnione były od tego, co mogłoby uchodzić za czysto biologiczne podłoże istnienia, oraz jakie miejsce w historii społeczeństw należy wyznaczyć takim „wydarzeniom” biologicznym, jak cyrkulacja prątków albo przedłużenie życia²³. Ale ciało zanurzone jest też bezpośrednio w sferze polityki, stosunki władzy wpływają na nie wprost: blokują je, naznaczają i urabiają, torturują, zmuszają do rozmaitych prac, różnych obrzędów, domagają się odeń znaków. To polityczne blokowanie ciała wiąże się na zasadzie skomplikowanych i wzajemnych zależności z jego wykorzystaniem ekonomicznym: zasadniczo ciało jest blokowane relacjami władzy i dominacji jako siła produkcyjna, ale sprowadzenie go do siły roboczej jest możliwe nie wcześniej, nim zostanie włączone w system ujarznienia (gdzie potrzeba jest również politycznym instrumentem — starannie przygotowanym, skalkulowanym i wykorzystywanym); jego siła staje się pożyteczna dopiero wówczas, kiedy będzie ciałem produktywnym i ujarzmionym zarazem. To ujarznienie jest nie tylko sprawą środków przemocy bądź ideologii. Równie dobrze może ono być uzyskane bezpośrednio, fizycznie, przez użycie siły przeciw sile, dotyczyć elementów fizycznych, a jednak nie być gwałtem. Może być zamierzone, zorganizowane, technicznie przemysłane, może być subtelne, nie odwoływać się do broni ani terroru, a jednak mieć charakter fizyczny. Oznacza to, że może istnieć pewna „wiedza” o ciele, która w istocie nie jest wiedzą o jego funkcjonowaniu, oraz pewne

²³ Zob. E. Le Roy-Ladurie, *L'histoire immobile*, „Annales”, maj-czerwiec 1974.

panowanie nad jego siłami, będące czymś więcej niż umiejętnością ich utrzymywania na wodzy — ta wiedza i to panowanie stanowią coś, co można by nazwać technologią polityczną ciała. Naturalnie, technologia ta jest rozproszona, rzadko kiedy ujmowana bywa w jakiś ciągły i systematyczny dyskurs; często składa się jedynie z luźno powiązanych elementów, a narzędzia i procedury, jakimi się posługuje, są bardzo różnorodne; zazwyczaj, mimo spójności uzyskiwanych rezultatów, jest tylko zestrojeniem wielu form. Co więcej, nie da się jej umiejscowić ani w określonym typie instytucji, ani w aparacie państwowym. One sięgają po nią; wykorzystują, sprawdzają wartość i narzucają niektóre z jej procedurów. Sama technologia jednak, jej mechanizmy i rezultaty, mieści się na całkiem innej płaszczyźnie. Chodzi tu, w pewnym sensie, o rodzaj mikrofizyki władzy, którą wprawiają w ruch organy i instytucje państwowe, ale jej pole ważności rozpościera się niejako pomiędzy tymi wielkimi maszynieriami a samymi ciałami z ich materialnością i siłą.

Otóż badanie tej mikrofizyki zakłada, że sprawowanie władzy nie będzie pojmowane jako własność, ale jako strategia; że efekty dominacji przypisywane będą nie „zawłaszczeniu”, lecz dyspozycjom, manewrom, taktykom, działaniom; że odczyta się w niej raczej sieć nieustannie napiętych, nieustannie aktywnych stosunków, niż jakiś przysługujący na stałe przywilej; że jej modelem będzie prędzej nieustanna bitwa niż cesja lub podbój zawłaszczający jakąś domenę. Trzeba w sumie przyjąć, że władzę tę raczej się sprawuje niż się ją posiada, że nie jest ona zdobytym lub sprawowanym „przywilejem” klasy panującej, lecz całościowym następstwem jej sytuacji strategicznej — następstwem, które potwierdza, a czasem również przedłuża położenie tych, którzy są uciskani. Z drugiej strony władzy tej nie narzuca się zwyczajnie i po prostu, jak nakazu czy zakazu, tym, którzy jej „nie mają” — ona w nich i ich blokuje, istnieje w nich i poprzez nich, ma w nich oparcie, tak samo jak oni w swej walce z nią opierają się na ujęciach, jakie im narzuciła. Oznacza to, że stosunki te sięgają daleko w głąb społeczeństwa, nie spro-

wadzają się do relacji państwa do obywateli lub do walki klasowej i nie zadowolają się odtwarzaniem na poziomie jednostek, ciał, gestów i zachowań ogólnej formy prawa czy rządu; jeśli nawet istnieje tu jakaś ciągłość (stosunki te ujawniają się bowiem rzeczywiście na tym poziomie według całego skomplikowanego systemu przekładu), nie rządzi tym procesem ani analogia ani homologia, lecz specyfika mechanizmów i modalności. Wreszcie nie są to relacje jednoznaczne — mają niezliczone punkty konfrontacji, ogniska niestabilności, z których każde zawiera właściwe sobie ryzyko konfliktu, walki i przejściowego przynajmniej odwrócenia relacji sił. Zburzenie tych „mikrowładz” nie podlega prawu „wszystko albo nic”; nie osiąga się go raz na zawsze przez kontrolę nad aparatem czy przez nowe sposoby funkcjonowania instytucji lub ich destrukcję; każdy lokalny epizod tej walki wpisuje się do historii jedynie przez efekty, jakie wprowadza do ujmującej go całościowej sieci relacji.

Trzeba będzie także, być może, zarzucić tradycyjne wyobrażenia, że wiedza rodzi się tam tylko, gdzie ustają związki z władzą i można ją rozwijać jedynie poza jej nakazami, wymogami i interesami. Trzeba może zrezygnować z wiary, że władza przyprawia o szaleństwo, zatem rezygnacja z niej jest jednym z warunków, które trzeba spełnić, by zostać uczonym. Wypada raczej uznać, że władza produkuje wiedzę (ale nie dlatego po prostu, że faworyzuje ją, gdy ta jej służy lub wykorzystuje, gdy jest użyteczna); że władza i wiedza wprost się ze sobą wiążą; że nie ma relacji władzy bez skorelowanego z nimi pola wiedzy, ani też wiedzy, która nie zakłada i nie tworzy relacji władzy. Stosunków w obrębie „władzy-wiedzy” nie da się zatem analizować wychodząc od podmiotu poznania, który jest albo nie jest wolny wobec systemu władzy; przeciwnie — trzeba uznać, że poznający podmiot, poznawane przedmioty i warunki poznania są raczej skutkami fundamentalnych następstw władzy-wiedzy i ich historycznych przemian. Krótko mówiąc — to nie działanie podmiotu poznającego tworzy wiedzę użyteczną dla władzy lub wobec niej oporną, ale władza-wiedza, procesy i walki, którym

podlega i z których się składa, wyznaczają możliwe formy i dziedziny poznania.

Analiza politycznego blokowania ciała i mikrofizyki władzy wymaga zatem, byśmy zrezygnowali — gdy idzie o władzę — z opozycji przemoc—ideologia, z metafory własności, z modelu umowy albo podboju; gdy idzie o wiedzę wymaga natomiast rezygnacji z przeciwstawiania tego, co „interesowne” temu, co „bezinteresowne”, z modelu poznania i z prymatu podmiotu. Nadając słowu „anatomia” odmienny sens niż to czynili w wieku XVII Petty i jemu współcześni, można by wyobrazić sobie pewną „anatomię” polityczną. Nie byłoby to studium państwa ujmowanego jako „ciało” (z jego zasobami, sposobami działania i siłą), ale nie byłoby to także studium ciała i jego otoczenia ujmowanych jako małe państwo. Byłaby w nim mowa o „ciele politycznym” jako o zbiorze elementów materialnych i technik, które dostarczają narzędzi, powiązań, dróg przepływu i punktów wsparcia relacjom władzy i wiedzy, blokującym ludzkie ciała i ujarzmiającym je przez tworzenie z nich przedmiotów wiedzy.

Chodzi tu o umieszczenie technik karnych — niezależnie od tego, czy operują ciałem w ramach rytuału publicznych kaźni i egzekucji, czy adresowane są do duszy — w historii tego ciała politycznego. O ujmowanie praktyk sądowniczych nie tyle jako konsekwencji teorii prawnych, lecz jako rozdziału anatomii politycznej.

Kantorowicz²⁴ przedstawił niegdyś znakomitą analizę „ciała króla”: ciała podwójnego wedle ukształtowanej w Średniowieczu teologii prawniczej, ponieważ prócz znikomego elementu, który rodzi się i umiera, zawiera ono inny składnik, który trwa w czasie i utrzymuje się jako fizyczny, choć nieuchwytny wspornik królestwa. Wokół tej dwoistości, która początkowo bliska była modelowi chrystologicznemu, powstaje określona ikonografia, teoria polityczna monarchii, mechanizmy prawne różnicujące i łączące zarazem osobę króla i interesy Korony, oraz cały rytuał najsilniej ujawniający się w chwilach koronacji,

²⁴ E. Kantorowicz, *The King's Two Bodies*, 1959.

pogrzebu i ceremonii zhołdowania. Na przeciwległym biegunie można by umieścić ciało skazańca. Ma ono także swój status prawny; powołuje swój ceremoniał i tworzy wielki dyskurs teoretyczny nie po to, by ustalić „plus władzy”, przybierający kształt osoby króla, ale by wyznaczyć „minus władzy”, jakim są naznaczeni ci, których poddaje się kaźni. W najciemniejszym zakątku pola politycznego skazaniec zarysowuje odwrotnie symetryczną figurę króla. Należałoby zanalizować to, co w hołdzie Kantorowiczowi można by nazwać „gorszym ciałem skazańca”.

Jeśli naddatek władzy po stronie króla sprawia, że podwaja się jego ciało, czyż nadmierna władza sprawowana na uległym ciele skazańca nie spowodowała podwojenia innego typu? Podwojenia tego, co niecielesne, „duszy”, jak mówił Malby. Historia takiej „mikrofizyki” władzy karnej byłaby zatem genealogią albo przyczynkiem do genealogii współczesnej „duszy”. Zamiast widzieć w duszy reaktywne resztki jakiejś ideologii, trzeba dostrzegać w niej aktualny korelatyw pewnej technologii sprawowania władzy nad ciałem. Twierdzenie, że dusza jest złudzeniem albo ideologicznym produktem, to błąd. Ależ ona istnieje, posiada jakąś realność, jest ciągle produkowana wokół ciała, na jego powierzchni i wewnątrz niego dzięki funkcjonowaniu władzy, której podlegają ci, których się karze, i szerzej — ci, których się nadzoruje, których się tresuje i koryguje, szaleńcy, dzieci, uczniowie, skolonizowani, ci, których przykuwa się do warsztatu pracy i kontroluje przez całe życie. Historyczna realność tej duszy, która w odróżnieniu od duszy przedstawianej przez teologię chrześcijańską nie rodzi się grzeszna i godna kary, wspiera się raczej na procedurze sądowej, nadzorze, wyroku i przymusie. Ta dusza, rzeczywista i bezcielesna, nie jest żadną substancją; to element łączący skutki pewnego typu władzy z referencjami wiedzy, przekładnia, dzięki której stosunki władzy stwarzają możliwość wiedzy, a wiedza przedłuża i wzmacnia skutki władzy. Na gruncie tej realności-referencji zbudowano rozmaite koncepcje i wykrojono rozmaite dziedziny analizy: psyche, subiektywność, indywidualność, świadomość itd. Na niej wzniesiono gmach technik i dyskursów

naukowych. Na jej podstawie głoszone moralne rewindykacje humanizmu. Nie powinno nas to jednak zmylić: nie zastąpiono duszy, iluzji teologów, rzeczywistym człowiekiem, przedmiotem wiedzy, refleksji filozoficznej i technicznej interwencji. Człowiek, o którym tyle nam mówią i do wyzwolenia którego wzywają, jest już, sam w sobie, wynikiem o wiele głębszego ujarzmienia. Zamieszkuje w nim, wynosi go do istnienia „dusza”, a jest ona częścią panowania władzy nad ciałem. Dusza — skutek i narzędzie pewnej politycznej anatomii. Dusza — więzienie ciała.

*

O tym, że kara w ogóle oraz więzienie zależne są od politycznej technologii ciała, przekonały mnie bardziej czasy obecne niż historia. W ostatnich latach buntów więzienne wybuchwały we wszystkich stronach świata. Ich cele, hasła, ich przebieg miały w sobie niewątpliwie coś paradoksalnego. Bywały buntów skierowane przeciw całej fizycznej nędzy, pochodzącej sprzed przeszło stulecia: protest przeciw zimnu, duchocie i zatłoczeniu, przeciw starym murom, głodowi, razem. Ale bywały również buntów przeciw więzieniom wzorcowym, środkiem uspokajającym, odosobnieniu, obsłudze medycznej i wychowawczej. Czy cel tych buntów był jedynie materialny? Czy były to buntów o charakterze sprzecznym, przeciw poniżeniu, ale i przeciw wygodzie, przeciw strażnikom, ale i przeciw psychiatrom? W gruncie rzeczy w tych buntach szło jednak o ciało i o rzeczy materialne, tak jak o nie właśnie chodzi w niezliczonych dyskursach, które od początku XIX wieku powstawały na temat więzienia. U podstaw tych dyskursów, buntów, wypominków i zniewag znajdowały się niewielkie, drobne kawałki materii. Kto zechce, może tu doszukiwać się jedynie ślepych żądań albo podejrzewać czyjeś wrogie knowania. W rzeczywistości chodziło o bunt, na poziomie ciała, przeciwko samemu ciału więzienia. Jego stawką nie był wcale zbyt surowy lub zbyt aseptyczny, zbyt prymitywny lub zbyt udoskonalony wymiar więzienia, lecz jego materialność, jako że jest ona narzędziem i wektorem

władzy; chodziło o całą tę technologię sprawowania władzy nad ciałem, której technologia „duszy” — technologia wychowawców, psychologów i psychiatrów — nie jest w stanie zamaskować ani skompensować z tej prostej przyczyny, że sama jest jednym z jej narzędzi. Takiego też więzienia, z całym politycznym blokowaniem ciała, ujmowanych przezeń w zamkniętą architekturę, chciałbym historię napisać. Przez czysty anachronizm? Nie, jeśli widzieć w tym tworzenie historii przeszłości w kategoriach terażniejszości. Tak, jeśli rozumieć przez to tworzenie historii terażniejszości²⁵.

²⁵ Będę badał narodziny więzienia wyłącznie we francuskim systemie karnym. Różnice w rozwoju historycznym i instytucjonalnym obciążąłyby pracę zbyt wieloma szczegółami a zamysł odtworzenia zjawiska w całości skazałby ją na zbyt wielką schematyczność.

Rozdział II

Blask kaźni

Ordynacja z roku 1670 regulowała aż do Rewolucji ogólne zasady praktyki karnej. Oto przepisywana przez nią hierarchia kar: „śmierć, badanie z zastrzeżeniem dowodów, czasowe galery, chłosta, publiczna pokuta, banicja”. A więc znaczna część to kary cielesne. Obyczaj, rodzaj zbrodni, status skazańca wprowadzały jeszcze dodatkowe rozróżnienia. „Naturalna kara śmierci obejmuje rozmaite rodzaje śmierci: jedni będą skazani na powieszenie, inni na obcięcie dłoni czy obcięcie lub przebicie języka, a potem na powieszenie; inni, za grubsze zbrodnie, na łamanie kołem i konanie żywcem po obcięciu im członków; inni na łamanie, aż nastąpi śmierć naturalna; inni na uduszenie, a potem łamanie; inni na spalenie żywcem; inni na spalenie po uprzednim uduszeniu; inni na obcięcie lub przebicie języka, a następnie spalenie żywcem; inni na rozdarcie w cztery konie; inni na ścięcie głowy; inni wreszcie na roztrzaskanie głowy”¹. Po czym Soulatges, jakby mimochodem, dodaje, że istnieją także kary lekkie, o których Ordynacja nie wspomina: udzielenie satysfakcji obrażonemu, admonicja, napomnienie, czasowe uwięzienie i wreszcie kary pieniężne: grzywny lub konfiskaty.

Nie dajmy się jednak zwieść. Pomiędzy tym arsenałem makabry a codzienną praktyką prawną margines był dość szeroki. Kaźń we właściwym sensie słowa nie stanowiła bynajmniej najczęstszej formy karania. Oczywiście, z dzisiejszego punktu widzenia procent wyroków śmierci w do-

¹ J.A. Soulatges, *Traité des crimes*, 1762, I, s. 169-171.